

Sylwester Szymon Wierzbowski

Różnice i podobieństwa Polonii amerykańskiej. Wspomnienia emigranta

Mija ponad czterysta lat od przybycia na kontynent amerykański pierwszych imigrantów z Polski. To właśnie oni, ich potomkowie oraz kolejni przybysze z naszego kraju stają się prekursorami i ambasadorami polskości w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Od tamtego momentu po dzień dzisiejszy polska emigracja jest świadkiem przemian i uczestnikiem „snu” o Ameryce – wolności, równości i dostatku. Nie wystarczy powiedzieć, że są tylko obserwatorami; są także inicjatorami i uczestnikami procesu powstawania narodu, są czynnymi działaczami, budowniczymi społeczeństwa, które swoje korzenie i siłę czerpie z różnorodności i wolności. Na przestrzeni pierwszych dekad i wieków istnienia Stanów Zjednoczonych Ameryki swoją cegiełkę do tej budowli dołożyli praojcowie polskiej ziemi, którzy nie wyróżniali się w społeczeństwie. Jednakże w momentach decydujących o kształcie i słuszności idei i wymagających obrony praw, razem z innymi nacjami stawali w obronie słusznych zasad i swoich przekonań. Należy jednak wspomnieć, że wśród zwykłych polskich uczestników amerykańskiej historii możemy znaleźć liczną grupę Polaków, którzy swoim poświęceniem wnieśli ogromny wkład w budowę i rozwój gospodarki. Ponadto w historii narodu amerykańskiego nietrudno znaleźć postaci, które zapisały się na kartach amerykańskiej epopei jako bohaterowie i przyjaciele narodu. Warto wspomnieć choćby takie osoby jak gen. Tadeusz Kościuszko, gen. Kazimierz Pułaski, Helena Modrzejewska.

Moja przygoda z Ameryką rozpoczęła się latem 2012 r. Bardzo dobrze pamiętam pierwsze chwile i niesamowite przeżycia po wylądowaniu na ziemi „Nowego Świata”, kiedy w jednej chwili człowiek uświadamia sobie, że przybył do kraju, gdzie miały miejsce wydarzenia, które odmieniły ten kraj i nierzadko miały wpływ na historię reszty świata. Myśli i emocje towarzyszące mi wtedy były nie do opisanego. Lęk, strach, a także zachwyt i zaskoczenie przeplatały się z ironicznym śmiechem i myślami: „ale to dziwne”

lub „inaczej niż u nas”. Po ochłonięciu przyszedł czas na stawienie czoła nowym wyzwaniom. Już w pierwszych dniach pobytu na „nowej ziemi” człowiek chce poznawać nową, otaczającą go rzeczywistość. Ponadto my Polacy mamy coś w sobie takiego, co można nazwać „instynktem narodowym”, czyli chęć poszukiwania innych rodaków na obczyźnie. Tak też stało się w moim przypadku. Miałem szczęście mieszkać w stanie, w którym polska społeczność jest liczna i wielopokoleniowa. Detroit jest miastem, w którym po Chicago i Nowym Jorku mieszka najwięcej Polaków. Jest to także jeden z najstarszych ośrodków Polonii w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Moje pierwsze spotkanie z Polonią miało miejsce w Orchard Lake, na terenie polskiego kampusu, gdzie znajduje się High School, polskie seminarium świętych Cyryla i Metodęgo. Mieści się tam także kaplica, gdzie co niedzielę gromadzą się Polacy, ponadto galeria, biblioteka i archiwum polonijne. Michigan, a szczególnie metropolia miasta Detroit, to obszar życia wielu podmiejskich miast i miasteczek, gdzie mieszka wielu Polaków. Największe skupiska Polaków na tym terenie to Hamtramck, Sterling Heights, Troy i samo miasto Detroit. Być może są inne miejscowości w Michigan, w których mieszka Polonia amerykańska, ja jednak nie miałem jeszcze okazji jej poznać. Wymienione przeze mnie miejscowości przywołują wspomnienia i skojarzenia, jakie towarzyszyły mi w czasie pierwszych wizyt w tych miastach. Tak więc, Hamtramck dla mnie to polskie miasto, gdzie znajduje się niezliczona liczba polskich sklepów delikatesowych z polskim pieczywem i innymi produktami, ponadto polska parafia oraz jedna z nielicznych miejscowości w USA, gdzie burmistrzem miasta jest Polka. To miasto już zawsze będzie mi się kojarzyć z największym wydarzeniem polonijnym w regionie, a mianowicie z Polskim Festiwalem, gdzie największą atrakcją jest Polska Parada z okazji święta „Labor Day” (dzień pracy) – w USA święto to obchodzi się we wrześniu, a nie w maju, jak w Polsce. Polska Parada w Hamtramck to jedna z największych polonijnych uroczystości. Jest to okazja do spotkań i wspólnego świętowania wszystkich polonusów mieszkających w Michigan. W ten dzień liczy się tylko świętowanie, a całe miasto jest udekorowane w kolorach białym i czerwonymi. W paradzie biorą udział wszystkie grupy społeczne, zaś zaszczytne miejsce w przemarszu zawsze mają polscy weterani wojenni.

Kolejnym miejscem na mapie jest miasteczko Sterling Heights, które dla mnie zawsze będzie kojarzyć się z polską parafią MB Częstochowskiej oraz miejscem spotkań kulturalnych. To właśnie w tym mieście odbywa się niezliczona liczba koncertów artystów z Polski oraz są organizowane zabawy andrzejkowe, mikołajkowe, a także koncert fortepianowy z muzyką

Fryderyka Chopina. Miasteczkiem, które wspominam z sentymentem, jest Troy. Mieszka w nim dość liczna grupa Polonii, na miejscu przyjmuje polski lekarz, jest tam apteka, biblioteka oraz Dom Polski, który jest ośrodkiem spotkań i życia towarzyskiego rodaków. Troy kojarzy mi się przede wszystkim z polskim sklepem, który stał się miejscem moich cotygodniowych zakupów. To wyjątkowe miejsce i niesamowici ludzie. To też tętniące serce rozmaitych spotkań i rozmów Polonii.

I jak już wspomniałem, największym i najstarszym ośrodkiem Polonii jest oczywiście Detroit – „miasto duchów”, jak zostało nazwane z powodu kryzysu i związanej z nim emigracji ludności do innych miast Ameryki w poszukiwaniu pracy i lepszego życia. Chciałbym jeszcze dodać, że na najstarszym cmentarzu w mieście spoczywa założyciel polskiego seminarium w Orchard Lake, ks. Józef Dąbrowski oraz wielu innych Polaków. To najważniejsze miejsca w Michigan, które udało mi się odkryć, a które niezmiennie zawsze będą kojarzyć się z Polską.

Kolejną okazją do spotkania Polaków była podróż na południe, do stanów: Alabama, Luizjana i Tennessee. To właśnie w tych stanach najlepiej widać różnorodność pomiędzy północą a południem Stanów Zjednoczonych i inność zamieszkującej ją Polonii. Wspomniane stany to przede wszystkim historia czarnoskórej społeczności amerykańskiej, to krwawa karta historii USA. Ziemia naznaczona prześladowaniami i separacją ludności oraz niewolnictwem. Na każdym kroku widać tam różnorodność kulturową i religijną oraz obyczajową. Moją przygodę w tej części zaczynam od Mobile, miasta portowego, które ma wyjście do Zatoki Meksykańskiej. Ogromne wrażenie robi przede wszystkim historia miasta Mobile, która przez długi czas związana była z kolonią francuską; miasto było stolicą stanu Luizjana w XVII i XVIII w. Dla mnie Mobile to miejsce i czas moich pierwszych amerykańskich świąt Thanksgiving Day (dzień dziękczynienia). Tam też poznałem najmłodsze pokolenie Polaków, którzy postanowili spróbować swoich sił na obczyźnie, zostawiając wszystko w Polsce, wyruszyli w nieznaną. Osoby te wyjechały do USA tuż po ukończeniu studiów. Po przybyciu na miejscu założyli rodzinę, jednocześnie ciężko pracując, nierzadko w dwóch, a czasami w trzech miejscach jednocześnie. To był wspaniały czas poznawania się i wspomniania.

Następnie wyruszyłem do Biloxi i Nowego Orleanu. Na miejscu mam okazję poznać dwóch polskich księży, którzy pracują w amerykańskich parafiach, gdzie jak wspominają raz lub dwa razy w miesiącu organizowane są msze dla nielicznej społeczności Polaków rozsianej wokół większych miast. Poznając uroki i podziwiając piękno Luizjany, udałem się do Tennessee.

W Memphis, w mieście Elvisa Presleya, przyszło mi poznać polskich zakonników pracujących wśród amerykańców, poznaję wspaniałe polskie małżeństwo, które w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku musiało uciekać z Polski oraz panią Zosię, która pracuje w Polskiej Misji Katolickiej. W czasie tego kilkudniowego pobytu w środkowo-północnej części Ameryki miałem okazję obserwować życie lokalnej społeczności i jeszcze bardziej poznać historię regionu. Co więcej, miałem okazję spotkać się z częścią Polonii, którą nazywa się „Solidarnościową”. Tak mówi się o Polakach, którzy przybyli do USA w czasie represji przeciwko członkom i rodzinom osób należących do „Solidarności” w naszym kraju. To właśnie tutaj poznałem małżeństwo, które opowiedziało mi, w jaki sposób znaleźli się w Stanach. Cała historia rozpoczyna się jak dobry film sensacyjny, najpierw ucieczka z Polski do Austrii, a następnie niepewność, strach w oczekiwaniu na decyzję rządu amerykańskiego na wjazd i pozwolenie na pracę w USA. To było niesamowite opowiadanie – historia pełna szczegółów i niespodziewanych zwrotów akcji, jak na przykład ukrywali się w podwoziu naczepy tira oraz jak zostali aresztowani w Austrii – osobliwa historia. W tym samym czasie mam okazję poznać panią Zosię i jej rodzinę. W czasie rozmowy z panią Zosią bardzo dużo dowiaduję się o prężnej działalności polskiej organizacji na tym terenie, inicjującej uroczystości związane z obchodami ważnych wydarzeń państwowych oraz świąt, takich jak Boże Narodzenie – zwłaszcza organizowanie pasterki, śpiew kolęd, oraz Wielkanocy – święconka i msza rezurekcyjna. Od pani Zosi dowiaduję się, że w tym miasteczku działa inna organizacja polonijna, która jednak jest skonfliktowana z grupą, w której działa pani Zosia. Od męża pani Zosi dowiaduję się o „tajemnej” działalności – pani Zosia niesie pomoc polskim rodzinom, które przylatują na leczenie swoich dzieci do USA. Stara się, aby zapewnić im miejsca noclegowe, wyżywienie, a czasami nawet wspiera je finansowo. To niezwykła osoba, którą los bardzo ciężko doświadczył, przez co stała się silną kobietą i wsparciem dla wielu ludzi w trudnych chwilach życia. Energia i dobro emanują od Zosi nieprzerwanie i z taką samą intensywnością na każdego, kogo spotka na swojej drodze. Zachowując całe to doświadczenie i dobro ostatnich dni, udaję się w drogę powrotną do Michigan.

Kolejnym etapem na mojej drodze odkrywania Ameryki stało się Wschodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych. W tym czasie mam okazję poznać wielu niesamowitych Polaków i Polonię, która w tej części USA jest jedną z najliczniejszych mniejszości narodowych. Wszystko zaczyna się w Hartford w stanie Connecticut. Chcę jeszcze dodać, że jest to okres świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku (2012-2013). W Hartford poznaję pol-

skiego kleryka Piotra, który opowiada mi swoją historię. Z rozmowy dowiaduję się, że w Hartford mieszkają co prawda Polacy, ale największe skupisko Polonii jest w New Britain i Bridgeport oraz w Springfield, w sąsiednim stanie Massachusetts. Tak więc nie patrząc na nic, udaję się do New Britain. Już na wjeździe do miasta można zauważyć, że mieszka tu wielu Polaków, ponieważ na wielu domach powiewają polskie flagi. W mieście znajduje się polska parafia, działa polska szkoła i oczywiście funkcjonują polskie sklepy i restauracje. Na miejscu spotykam się i rozmawiam z księdzem proboszczem polskiej parafii, od którego dowiaduję się o historii miasta oraz o społeczności polskiej na tych terenach. Słucham niezwykłych historii rodzin i wydarzeń, jakie miały miejsce w tym mieście. W New Britain zostaję na dłużej. Będę tu spędzał moje pierwsze święta Bożego Narodzenia w USA – daleko od rodziny. Ale jak się okazuje, nie będę ich spędzał w samotności, ponieważ jedna z polskich rodzin zaprosiła mnie na kolację wigilijną. Na Wigilię zjeżdża się cała rodzina, lekko licząc ok. 30-40 osób, w tym bardzo dużo dzieci. Już po kolacji przysiadam się do nestorki rodziny, z którą rozmawiam i pytam się o to, jak to było kiedyś z Polonią oraz jaka jest jej historia. Dowiaduję się od niej, że najważniejsze w życiu to właśnie rodzina oraz wychowanie w duchu religii katolickiej. Mówi o obowiązku przekazywania i kultywowania dziedzictwa przodków, ich wiary, zwyczajów, kultury i – najważniejsze – języka. Ponadto starsza pani opowiada mi, jak wyglądały początki życia jej rodziny w USA, jak ciężko musieli pracować. To była piękna opowieść pełna radości, czasami smutku, trudów i wzruszających wspomnień. Już na sam koniec przed wyjściem na pasterkę seniorka podkreśla, jak ważny dla niej i jej rodziny jest język polski. I rzeczywiście – młode pokolenie w tej rodzinie mówi po polsku, nawet najmłodsze dzieci. To były dla mnie wyjątkowe święta, chociaż z dala od moich bliskich, ale i tak wspaniałe. W kościele pasterka jak w rodzinnej parafii, uroczyste rozpoczęcie z wielką pompą, śpiew polskich kołęd – jak w Polsce.

Po świętach udaję się do Nowego Jorku, oczywiście turystycznie, nie miałem okazji poznać nikogo z nowojorskiej Polonii. Poznałem jednak te miejsca, które ja nazywam „Polish side”, czyli miejsca, gdzie jest najwięcej Polaków, czyli oczywiście Brooklyn. Niestety nie mam dużo czasu, więc tylko przejeżdżam w pobliżu najważniejszych polonijnych miejsc w dzielnicy, w tym polskich parafii i szkół. W drodze powrotnej do Hartford odwiedzam Bridgeport, miasto nad oceanem – tutaj też mieszka liczna Polonia. Jeszcze jeden dzień w Hartford i następnego dnia udaję się do Springfield w stanie Massachusetts. W mieście zatrzymuję się niedaleko od polskiej parafii. Tam też spotykam polskiego księdza, który opowiada mi historię Polaków

mieszkających w tym mieście i w okolicy. Poznają kilku rodaków. Podczas rozmowy z nimi poznają ich historie i dzieje Polaków w tej części Ameryki. Od mieszkańców dowiaduję się także, że Polonia wymiera i młode pokolenie emigruje do dużych miast lub w okolice metropolii – na przedmieścia np. Nowego Jorku lub Bostonu. Polacy skarżą się, że władze diecezji chcą zamknąć polski kościół i że będą musieli uczestniczyć w mszy w języku angielskim. Jedynym ratunkiem na dzisiaj jest to, że sami utrzymują kościół, opłacają rachunki i organizują zbiórki na potrzeby kościoła. Ale jak długo ta coraz mniejsza społeczność będzie w stanie tak funkcjonować? To był smutny dzień – chciałem im pomóc. Podczas mojego pobytu społeczność polonijna zorganizowała „Bal Debiutantek”, na którym zebrała się śmietanka polonijna z Massachusetts. To spotkanie nazwałbym wydarzeniem patriotyczno-kulturowym. Nie brakowało na nim akcentów państwowych – odśpiewanie hymnu Polski, a następnie tańce walca, muzyka F. Chopina i rozmowy, których nie było końca. W pamięci utkwił swoisty apel pewnej osoby ze starszego pokolenia, abyśmy my, młode pokolenie emigracji, podtrzymywali więź z narodem oraz pielęgnowali polską tradycję i kulturę na obczyźnie – aby „nie wstydzić się polskości” – pamiętam te słowa bardzo dobrze, na długo utkwiły w mojej pamięci.

Po pełnych wrażeń i nowych doświadczeń feriach świątecznych wracam na uczelnię. Po powrocie jeszcze bardzo długo rozmyślałem o tym, co usłyszałem i przeżyłem dzięki poznanym osobom. Był to dla mnie przełomowy czas, bo postanowiłem czynnie zaangażować się w działania na rzecz Polonii i promocji polskiej tradycji i kultury na ziemi amerykańskiej.

Po bardzo intensywnym okresie na uniwersytecie, wyruszam w kolejną podróż do jeszcze nieodkrytych przeze mnie miejsc. Tym razem udaję się do Chicago i Joliet w stanie Illinois. Pobyt w tych miastach okazał się dla mnie bardzo owocny. Muszę zaznaczyć, że w Chicago byłem dwa lub trzy razy. Za każdym razem zdobywałem wiele cennych doświadczeń. Uważam ten okres za kluczowy dla mojej późniejszej działalności na rzecz Polonii i Polaków w USA. Bardzo dobrze pamiętam każde moje spotkanie i każdą poznaną osobę. Jedną z nich była pani Krysia, wspaniała, bardzo skromna i życzliwa, wyjątkowa osoba. Pierwszy raz panią Krysię poznałem, kiedy wraz z moim przyjacielem odwiedzili mnie w kampusie w Michigan. W czasie pobytu w Chicago spotkałem się z panią Krysią po raz drugi, tym razem w jej rodzinnym domu. Dzięki naszym rozmowom mogłem dowiedzieć się więcej o niej samej i o Polonii chicagowskiej.

W tym samym czasie w Wietrznym Mieście miałem okazję spotkać się z polskimi siostrami zakonnymi, które na co dzień pracują w polskich pa-

rafiach, prowadzą polski dom i sklepik z dewocjonaliami. Z tego spotkania bardzo dobrze pamiętam, jak jedna z sióstr narzekała, że teraz to już nie ma wielu Polaków, wyludniają się dzielnice, gdzie jeszcze kilka lat temu mieszkała duża społeczność rodaków, a teraz na ich miejsce wprowadzają się Meksykanie, Pakistańczycy i inne narodowości. Pamiętam dzień, kiedy wybraliśmy się ze znajomym na „objazdówkę” po Chicago, aby zobaczyć miasto i ocenić, jak duży teren kiedyś zamieszkiwali Polacy w Chicago. Chciałem zobaczyć, jak kiedyś mieszkali nasi przodkowie i jak wyglądały i wyglądają polskie dzielnice teraz. Jeździliśmy po mieście 56 godzin, zobaczyliśmy wszystkie najważniejsze miejsca i budynki związane z Polakami i emigracją polonijną. Odwiedziłem polskie parafie w Chicago, polskie szkoły, sklepy, restauracje, widziałem miejsca, gdzie mieszkali znani Polacy. Zrozumiałem wtedy, że większości tych miejsc już nie ma lub niedługo nie będzie. Ta myśl towarzyszyła mi już przez resztę mojego pobytu w Chicago. I już na koniec naszły mnie myśli, że jest to miejsce już zamierającej, zanikającej Polonii.

W tym miejscu chciałbym pokusić się o pewną refleksję, która stała się impulsem dla mojej późniejszej działalności na rzecz Polonii i przyczyniła się do powstania kilku pomysłów na to, jak zachować to pozostawione dziedzictwo i dorobek naszych rodaków. Wszystkie te plany mam zapisane i myślę, że przyjdzie właściwy czas, kiedy spotkam podobnie myślących ludzi, którzy również będą chcieli uratować to bogactwo. Polonia chicagowska mocno podkreślała, jak wielką pracę wykonali pierwsi Polacy i następne generacje Polaków mieszkający w tym mieście, aby to wszystko przetrwało i istniało dla kolejnych pokoleń. Teraz już wiemy, że obecne pokolenia podjęły decyzję o emigracji w inne strony Stanów. Pozostaje jedynie nadzieja, że ci, którzy tu zostali, będą mieć na tyle sił, aby podjąć wysiłek opieki nad dziedzictwem pozostawionym w tym mieście. Jedynym pocieszeniem jest fakt, że znaczna liczba naszych rodaków przeprowadziła się na przedmieścia Chicago i tam realizuje swoje marzenia i sen o Ameryce. Tam też kultywuje i rozpowszechnia polską tradycję, kulturę, historię i język. Joliet jest właśnie jednym z takich miasteczek położonych na przedmieściach ogromnego Chicago. Jest to miejsce, gdzie mieszka duża społeczność Polaków, działa polska parafia i funkcjonują polskie sklepy. Tutaj dowiedziałem się, że duża liczba polskich księży pracuje nie tylko w polskich, ale również w amerykańskich parafiach. W jednej z takich parafii poznałem polskiego proboszcza – księdza Grzegorza. Ksiądz Grzegorz należał wcześniej do polskiego zgromadzenia i pracował w polskich parafiach. Jednakże po wielu latach postanowił inkardynować się ze zgromadzenia do lokalnej diecezji. Fr. Greg, jak mówią do niego parafianie, pracował w parafiach, gdzie nie było mszy w języku pol-

skim. Wspomniał, że kiedy był proboszczem w jednej z amerykańskich parafii, do której należeli Polacy, poprosił biskupa, aby mógł tam odprawiać jedną dodatkową mszę właśnie dla Polaków, w języku polskim. Wspaniały kapłan, otwarty i konkretny (tzn. wymagający), nie lubił ubarwiać. Ksiądz Grzegorz zaprosił mnie pewnego dnia na obiad do jednej z lokalnych restauracji. Od momentu, kiedy tylko weszliśmy do lokalu, przebywający tam goście witali nas, pozdrawiali i podchodzili do księdza na krótką chwilę, aby chociaż zamienić z nim kilka słów lub po prostu pozdrowić go, poklepując przy tym po ramieniu, żartując i wymieniając uprzejmości. Powiedziałem do niego: „rozumieć, że to są Księżdz parafianie” – ks. Grzegorz potwierdził i dodał, że takie zachowanie jest tu normalne. Miałem jeszcze wiele podobnych przygód w towarzystwie księdza. Czas spędzony w Chicago i na jego przedmieściach uważam za bardzo owocny i pełen bogatych doświadczeń, które sprawiły, że zapragnąłem wykreować nowe spojrzenie na Polonię i Polaków na emigracji. Przede wszystkim szukałem informacji, jak wygląda polityka promocji Polski, polityka historyczna i, co najważniejsze, szukałem odpowiedzi na pytanie, jaka jest strategia polskich władz w kontekście emigracji polonijnej w Stanach Zjednoczonych – to był żmudny proces. Postanowiłem również wypracować swoją własną strategię w kwestii promocji polskiego dziedzictwa, kultury i historii. Swoją strategię oparłem głównie na współpracy z lokalnymi mieszkańcami. Udało mi się ją wypróbować później, ale o tym opowiem w części poświęconej Kolorado.

Kiedy wędruję po bezkresach wielkiego kraju, poznając piękno i różnorodność Stanów Zjednoczonych, staję się obserwatorem życia i historii Polonii z jej różnorodnością i pięknem. A oni stają się częścią mojego życia. W tym też czasie w Michigan udaje mi się poznać kolejne Polskie rodziny i osoby. Poznają na przykład Amerykankę polskiego pochodzenia, należącą do ostatniej generacji mającej polskie korzenie. Wśród wielu nowo poznanych osób jest pani Halinka. Poznaliśmy się na uroczystości w Polskiej Szkole w Orchard Lake, w której religii i innych przedmiotów uczą się jej wnuczki. W trakcie jednego z takich spotkań dowiaduję się, że jej zmarły mąż urodził się w tym samym mieście co ja. To była wspaniała rozmowa, pełna sentymentalnych wspomnień i wzruszeń. Od tamtego czasu pani Halinka stała się dla mnie bardzo bliską osobą, jej dom był dla mnie zawsze otwarty. Podczas jednej z naszych rozmów poprosiłem o opowiedzenie historii jej i jej rodziny – chciałem dowiedzieć się, jak wyglądało ich życie w USA. Pani Halinka rozpoczęła opowieść od tego, jakie problemy mieli po przybyciu już na miejscu. Bariera językowa, problemy ze zdobyciem dobrej pracy. Po wielu latach ciężkiej pracy, czasami w wielu miejscach

i na nocne zmiany, przychodzi stabilizacja. Zakładają rodzinę, wychowują dwie córki. Obowiązki domowe i praca zawodowa to duże obciążenie, jednak wystarcza im siły na kultywowanie rodzinnych tradycji i zwyczajów oraz naukę języka ojczystego. Opowiadając o wychowywaniu dzieci, pani Halinka podkreślała, że najważniejszym było dla nich zadbać o to, aby rodzina kultywowała polską kulturę i historię. Myślę, że takich polskich historii w Ameryce można znaleźć tysiące. Po latach pobytu w USA, w czasie których usłyszałem wiele podobnych opowieści, mam świadomość trudu, jaki muszą włożyć polscy rodzice, aby w ich dzieciach zrodziło się poczucie więzi z krajem oraz przywiązanie do polskiej tradycji czy wiary katolickiej – której nie znają, dopiero się uczą. Z perspektywy czasu historia pani Halinki i nasze wspólne rozmowy stały się dla mnie bardzo pomocne.

Kolejne spotkanie z nowymi bohaterami przychodzi bardzo szybko. Stają się oni dla mnie mentorami, którzy poszerzają moją perspektywę patrzenia na otaczający świat i istniejącą kulturę. Tym razem na mojej drodze staje Mrs. Katy (Kasia). Historia Katy pozwoliła mi spojrzeć na kwestię Polonii przez pryzmat historii Polonii starszego pokolenia, której życie jest ściśle związane z historią tego kraju, w którym jej rodzice zdecydowali się pozostać. Katy, jeśli dobrze pamiętam, jest trzecim pokoleniem polskich emigrantów. Cechą wspólną tego pokolenia jest jego przywiązanie do tradycji, zwyczajów, czasami dobra znajomość historii i języka, a czasem, tak jak w przypadku Katy, bardzo słaba znajomość języka przodków. Jednakże, co wyróżnia Katy i jej rodzinę, to przywiązanie do polskiej tradycji, kultury, religii i zwyczajów. Dobrze pamiętam jak wspominała Kasia, że w jej domu święta Bożego Narodzenia są odzwierciedleniem charakteru świąt według polskich zwyczajów, czyli Wigilia z dwunastoma potrawami, dzielenie się opłatkiem, wspólne śpiewanie kolęd i pasterka. Podobnie święta Wielkiej Nocy, też w większym lub mniejszym stopniu przeplatają się z polskimi zwyczajami i elementami kultury polskiej – jak np. śmigus-dyngus itp. Najważniejszym ich elementem jest oczywiście święconka – Kasia wspomina, że jej koszyk musi być taki, jaki pamięta z dzieciństwa, czyli pełny i kolorowy oraz przystrojony zielenią. Przyznam szczerze, że nigdy nie usłyszałem z ust Kasi polskiego słowa, ale wiem, że jej dzieci znają język i mówią w języku polskim. Być może Katy chciała się wywiązać z naszej umowy – obiecała mi, że będzie do mnie mówić wyłącznie w języku angielskim, ponieważ chciałem się szybko nauczyć mówić poprawnie po amerykańsku. W mojej pamięci zapisał się obraz Kasi jako osoby wyjątkowo religijnej, zwłaszcza jeśli idzie o kult Bożego Miłosierdzia. Bardzo często, gdy poruszaliśmy tematy religii i historii, przywiązania narodu polskiego do wiary chrześcijańskiej, Katy bardzo dużo wówczas mó-

wiła o s. Faustynie Kowalskiej i na temat Bożego Miłosierdzia. Katy była zafascynowana tajemnicą Miłosierdzia Bożego i historią s. Faustyny. Pewnego razu otrzymałem od Kasi obraz z wizerunkiem Jezusa Miłosiernego, który został zaprojektowany i wykonany na komputerze przez Kasię. Do dziś mam w domu plakat o tematyce Bożego Miłosierdzia autorstwa Kasi, przedstawiający postać Jezusa Miłosiernego i s. Faustynę. Wiele razy widziałem zaangażowanie Kasi w pomoc i wsparcie oraz aktywny udział w życiu wspólnoty polskiego seminarium w Orchard Lake. Kasia stara się także jak najczęściej podróżować do Polski, gdzie poszukuje informacji i źródeł o swojej rodzinie i przodkach. Ma już pierwsze sukcesy. Oprócz tego, że od Kasi i jej rodziny doświadczyłem bardzo dużo dobra, najbardziej cenię sobie jej pomoc w nauce języka angielskiego. Na przykładzie znajomości z Kasią mogę powiedzieć, że odkrywanie historii kolejnych polskich pokoleń na ziemi amerykańskiej to niesamowite przeżycie. Ze spotkań i z rozmów z Katy w pamięci pozostało mi jej pragnienie poszukiwania i poznania historii swojej rodziny oraz więzi z przodkami, jej osobliwa tęsknota za przodkami i rodziną. Cechą szczególną w życiu Katy jest jej otwartość i autentyczność w dzieleniu się dobrem w jego najprostszej postaci. Spotkanie z Kasią bardzo dużo zmieniło w moim życiu i w moim podejściu do wielu spraw, także w kontekście Polonii i Polaków. Moim zamiarem było zawsze otwarcie się na inne kultury, grupy, na lokalną społeczność – tą drogą idę.

Chciałbym szukać nowych rozwiązań i sposobów trafienia do młodego pokolenia Polonii, które już nie mówi w języku polskim, nie jest zainteresowane tradycją, kulturą i historią Polski. Chciałbym również wypracować strategię mającą na celu ochronę polskiego dziedzictwa, które w niektórych częściach Ameryki jest zapominane lub pozostawione bezpotomnie.

Małymi krokami zbliżam się do końca moich opowieści i wspomnień. Chciałbym teraz skupić się na doświadczeniach, które uważam za kluczowe, a które ukształtowały mój obecny pogląd i postrzeganie Polonii na ziemi amerykańskiej. Na początku chciałbym wyjaśnić, że chodzi o grupę Polaków, która na co dzień mieszka w tej części Stanów Zjednoczonych, która nie wydawała mi się być kojarzona z Polonią – a chodzi o Kolorado. Kolorado jest jednym ze środkowych stanów, położonym w części na równinie, a częściowo w Górach Skalistych.

Moje doświadczenia z Polonią w tym stanie były nietypowe i niespodziewane. Przede wszystkim myślałem, że jedyne miejsce, w którym mogę spodziewać się lub spotkać Polaków w Kolorado to Denver, ale jak się okazało później, myliłem się. Polonię w Denver poznałem dopiero pod koniec mojego pobytu w tym stanie. Czas, w którym poznawałem Polaków w tej

części Stanów, był pełen przypadków. Prosto z lotniska w Denver udaję się na południe tego stanu do Pueblo i Alamosa, a następnie w głąb gór do Pagosa Springs. Po drodze mijam Kolorado Springs, pierwsze skojarzenie z tym miastem dla Polaka to bohaterowie popularnego serialu lat 90. Dr Quinn. Jak się później okaże, jeszcze wrócę do tego miasta. Po drodze mijam największą wojskową bazę lotniczą Stanów Zjednoczonych. Pueblo to małe miasteczko na prowincji, w którym nie spotkałem żadnego Polaka, chociaż później okazało się, że w lokalnej diecezji pracował polski ksiądz, który jednak zmarł w 2004 r. Zostaję tu dwa tygodnie. Następnie udaję się do Alamosa, miasteczko położonego na równinie, które jest jedną z ostatnich miejscowości przed wjazdem w Góry Skaliste. Alamosa to miasteczko historycznie związane z Indianami, którzy są rdzennymi mieszkańcami tych ziem. Tutaj poznaję Polaka, pana Che'a, czyli Czesława. Czet jest przedstawicielem generacji Polaków żyjących na ziemi amerykańskiej, nie mówi już w języku polski, za to z pasją opowiada o swoich polskich korzeniach. Z czasu, kiedy przebywałem w Alamosa, najciekawiej wspominam spotkania z ludźmi, którzy są potomkami Indian – to było niesamowite spotkanie. W pamięci najbardziej utkwiała mi wizyta w typowym amerykańskim salonie fryzjerskim – Barber. Ten Barber był niezwykle – jak się okazało, jest przodkiem jednego ze słynnych wodzów indiańskich, zamieszkujących kiedyś te tereny. W salonie fryzjerskim wisiały zdjęcia jego przodków jeszcze z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Bardzo sympatyczny pan – wracałem tam jako klient jeszcze dwa razy, za każdym razem rozmowom nie było końca. Pamiętam też jedno z jego pytań – był ciekawy dlaczego tu przyjechałem i co chcę robić w USA. Po ponad miesiącu ruszam dalej w góry. W drodze mijam równiny, w oddali widzę rozciągający się pas Gór Skalistych.

Wjeżdżam w Góry Skaliste – niesamowite widoki, ogrom i piękno krajobrazów. Jeziora, skały, wodospady – istny raj dla kogoś, kto kocha góry. Wreszcie docieram do Pagosa Springs. Małe miasteczko położone na wysokości 2400 metrów n.p.m., czyli wysokości polskich gór – Rysów.

Jak się później okaże, stanie się ono dla mnie już na zawsze miejscem, o którym później powiem, że „moim miejscem narodzin stała się Polska, ale moim miejsce na ziemi jest Pagosa Springs”. Zatrzymuję się u poleconego wcześniej znajomego. Następnego dnia do mieszkańców dociera informacja, że w miasteczku jest „obcy”. Także mieszkający tam Polacy wiedzą już o mnie. Również do mnie trafia wiadomość, że w miasteczku mieszkają Polacy – jak się później okaże, spora grupa. Pierwsze moje spotkanie z Polonią następuje w niedzielę po mszy w miejscowym kościele. Na mszy zostaję oficjalnie

powitany przez miejscowego proboszcza i przedstawiony mieszkańcom. Po mszy podchodzą do mnie Polacy. Jeszcze nieśmiali, ciekawi i zdumieni, co to za dziwak zapuszcza się w te strony. Od tego momentu stali się wyjątkowymi znajomymi, wspaniali ludzie, którzy otoczyli mnie wielką troską i życzliwością, której nigdy później nie doświadczyłem. Polonia w Pagosa Springs to wielka rodzina – dosłownie i w przenośni. Jak się później okazało, pani Marysia i pani Zosia to rodzone siostry, natomiast nieopodal mieszka siostra męża pani Marysi, pana Wojtka, która także ma na imię Marysia. Pani Marysia i pan Wojtek Kuros są właścicielami jednego z hoteli w Pagosa Springs. Pani Zosia i jej mąż, pan Jan, również są właścicielami hotelu przy tej samej ulicy. Żeby tego było mało, siostra pana Wojtka także jest właścicielką hotelu, który sąsiaduje z hotelem państwa Zosi i Janka. W miasteczku mieszka jeszcze inna polska rodzina, która, nie inaczej, również jest właścicielem hotelu. Można śmiało powiedzieć, że Pagosa Springs to zagłębie polskiego hotelarstwa. Miejsca, gdzie jest duże zagęszczenie Polaków, określam mianem „Polish side” („polskie terytorium”). Miejsce to nazywałem „małą Polską” również z tego powodu, że kilka lat temu decyzją wszystkich mieszkańców w Pagosa Spring został wybudowany drugi kościół.

Nic wyjątkowego, ale dla osób niepolskiego pochodzenia było to wydarzenie bezprecedensowe, ponieważ jest to pierwsza parafia w środkowych stanach poświęcona pamięci św. Jana Pawła II. Ponadto, dzięki inicjatywie i zaangażowaniu polskich rodzin, co roku w październiku w USA są organizowane wydarzenia związane z pamięcią i dziedzictwem Polonii, nasi rodacy organizują przy parafii festyn z polską muzyką i poczęstunkiem. W czasie mojego pobytu w tym miasteczku miałem także okazję spotkać pewnego pana, który w restauracji, słysząc polski język, podszedł do nas, aby zamienić z nami kilka słów i powiedzieć, że ma polskie korzenie. Przyznał, że jego przodkowie są emigrantami z Polski. Sam co prawda nie mówi w języku rodziców i jest już bardziej Amerykaninem, ale ma wielki sentyment i szacunek do Polski i Polaków. To i podobne spotkania ponownie skłoniły mnie do refleksji jak zintegrować Polonię w jej różnorodności. Bardzo zależało mi, aby trafić do ludzi, którzy identyfikują się z Polską oraz są rzeczywistymi potomkami Polskiej emigracji, ale z różnych względów zatarty się ich więzi z polskim narodem, jego tradycją, kulturą i zwyczajami, czują jednak więź oraz w jakimś stopniu przywiązanie do tego co Polskie.

Podczas całego mojego pobytu w Stanach doświadczyłem różnych wspaniałych i często zaskakujących przygód i wysłuchałem setek historii naszych rodaków i nie tylko. Były też momenty szokujące, a wśród nich przypadek

jednej z polskich rodzin z Pagosa Springs. Była to rodzina trzypokoleniowa, w której rodzice mówią w języku polskim i celebrują najważniejsze święta dla kultury Polskiej, a ich dzieci nie mówią w języku rodziców. Największym zaskoczeniem był dla mnie moment, kiedy usłyszałem od dziadka tych dzieci, że on nie może z nimi porozmawiać ani też spędzić z nimi czasu, ponieważ nie zna języka angielskiego, a wnuki nie znają języka polskiego. Utkwiły mi w pamięci smutne oczy tego starszego pana. To spotkanie nie dawało mi spokoju, wracały do mnie myśli o tym, jak można by pobudzić ludzi do wspólnego działania na rzecz łączenia ze sobą pokoleń Polonii – młodych i starszych. W jaki sposób wzbudzić realną więź u ludzi, którzy sercem i pamięcią czują się i są Polakami, ale ogranicza ich przeszłość i bariera języka oraz nieśmiałość. Dla mnie w czasie tego pobytu najważniejsze było, aby postarać się zbudować od pierwszej chwili trwałe relacje nie tylko z samą Polonią, ale przede wszystkim z lokalnymi mieszkańcami. Bardzo zależało mi na tym, aby promować i przybliżać polską historię, tradycje i zwyczaje Amerykanom, którzy byli chętni i otwarci na naszą obecność.

Chciałbym w tym miejscu podzielić się jeszcze jednym z moich spostrzeżeń z ostatnich dni mojego pobytu w Kolorado. Pod koniec wakacji wybrałem się do Colorado Springs. Zakładałem, że Polacy są wszędzie w Ameryce, nie przypuszczałem jednak, że coś może mnie jeszcze zaskoczyć, ale tak właśnie się stało. Udałem się na kilka dni w góry, aby się wyciszyć, odpocząć, uporządkować myśli, przemyśleć plany na najbliższy rok oraz sprawy, które nie dawały mi spokoju, a ponadto nabrać sił przed kolejnym rokiem nauki na uniwersytecie. Po ponad czterogodzinnej trasie z Pueblo dotarłem do Mount St. Francis w Colorado Springs, a konkretnie na przedmieścia, położone na zboczu góry z pięknym widokiem na miasto. Zakwaterowałem się w pensjonacie, który jednocześnie był domem spokojnej starości przeznaczonym dla sióstr zakonnych. Po zakwaterowaniu i odświeżeniu się po podróży, zostałem zaproszony na kolację. Po przekroczeniu progu refektarza zostałem serdecznie przywitany. Przedstawiłem się oraz opowiedziałem kilka słów o sobie i zasiedliśmy do stołu. Atmosfera była wspaniała i serdeczna, gospodarze wykazywali zaciekawienie moją osobą, czasem wręcz zachwycając się tym, że wyruszyłem aż do Ameryki, aby studiować. Dzień był ciężki i szybko odczułem zmęczenie i zbliżający się koniec dnia. Niespodziewanie spotkało mnie wtedy coś niesamowitego. Po wyjściu z refektarza podchodzi do mnie jedna z sióstr, która mówi pół na pół po angielsku i łamaną polszczyzną. Poczulem wielkie zdziwienie i zachwyty, że nawet tak wysoko w górach spotkałem Polkę. Usiedliśmy i zaczęła się wspaniała rozmowa, która gdyby nie reguły zakonne nigdy

by się nie skończyła. Siostra jest drugim pokoleniem Polaków, urodziła się w USA w stanie Wisconsin. Opowiedziała mi całą historię swojego życia, począwszy od wyczerpujących podróży, jakie przemierzali jej przodkowie ze Wschodniego Wybrzeża do Wisconsin. Dowiedziałem się także jak ciężko musieli pracować, aby zapewnić sobie godne życie, a jednocześnie musieli stawiać czoła różnego rodzaju zagrożeniom związanym z byciem imigrantem. Pamiętam jak dziś czas spędzony z siostrą, to były długie dni pełne ciekawych opowieści. Odczuwałem wtedy nostalgię oraz radość z przeżytych szczęśliwych chwil w życiu. Jak się później okazało, w ośrodku przebywała jeszcze jedna siostra polskiego pochodzenia, która w ogóle nie mówiła po polsku. Po wyjeździe z Catholic Health Initiatives Colorado w pamięci pozostają wielogodzinne rozmowy z siostrami oraz widok nocną porą na Colorado Springs – to był wyjątkowy czas w ciszy i z myślami sam na sam. Te długie nocne godziny spędzone na zboczu góry z widokiem na miasto, których bardzo mi teraz brakuje, dawały mi siłę na kolejny dzień, następne dni. Opuszczam Colorado Springs i wyruszam do Denver i Fort Collins.

W Denver jest dość liczna wspólnota Polaków, działa polska parafia, polskie sklepy i szkoła oraz ośrodki kultury. Niestety nie miałem okazji poznać bliżej naszych rodaków w Denver, spotkałem się jedynie z proboszczem polskiej parafii i dwiema polskimi rodzinami. Po kilku godzinach spędzonych w Denver udałem się do kolegi, który mieszka na przedmieściu Denver w Fort Collins. Stamtąd wyruszam już w ostatnią podróż po Górach Skalistych, gdzie w sierpniu można jeszcze spotkać śnieg. Po powrocie odwiedzam księdza Grzegorza, którego miałem okazję spotkać jeszcze w Polsce przed wyjazdem do Stanów. Ksiądz pracuje w amerykańskiej parafii. Jak wspominał ks. Grzegorz, w swojej parafii ma kilka polskich rodzin, z którymi utrzymuje kontakt i podtrzymuje polską tradycję „na Dzikim Zachodzie”.

Wracając jeszcze na chwilę do Pagosa Springs, chciałem dodać, że jesienią 2013 r. udało mi się sprowadzić i przekazać relikwie św. Jana Pawła II dla parafii w Pagosa Springs w Kolorado. Uroczystość wprowadzenia tych relikwii miała miejsce 1 stycznia 2014 r., co odnotowały lokalne media. Pagosa Springs pozostaje na zawsze moim miejscem na ziemi – na pewno tam wrócę, aby zamieszkać na stałe. Oto całość moich doświadczeń i spostrzeżeń związanych z poszukiwaniem, a czasami z przypadkowymi spotkaniami z Polonią i Polakami w Stanach Zjednoczonych. Utrwalając część mojej historii, kierowałem się raczej intencją opisaną wyłącznie moich spostrzeżeń, a ponadto pragnąłem pokazać tę rzeczywistość taką, jaką ją zapamiętałem i jaką jest.